



KABARET O WARSZAWIE I POLITYCE

Taki śmieszny burdel

Kiedyś byli wulgarni, opowiadali niesmaczne dowcipy i obrażali publiczność. Teraz złagodnieli i chętniej niż dawniej zajmują się polityką. Ale wciąż na śmiesznie.

TEKST JACEK TOMCZUK

Neoliberalna ideologia nie robi na mnie wrażenia, metro nie starcza do zbudowania poczucia dumy narodowej. Marzy mi się film o początkach państwa polskiego – tak Zdzisław, nieduży wzrostem, za to chorobliwie ambitny budowniczy metra, zaczyna „Zemstę bogów”, najnowszy spektakl Pożaru w Burdelu. W poprzednim programie kabaretowo-teatralnej trupy dokonał zamachu stanu, wprowadził prawicową dyktaturę. Obecnie poszukuje odpowiedniego scenariusza dalszych artystycznych działań. „Teraz z klęczek nasz naród sztuką podniosę – nowe otwarcie tutaj ogłoszę. Zaczniemy opowieść o Państwie Polan; wyjdźmy z podziemi i wstańmy z kolan”.

Tekst może razi trochę kulawym rytmem i rymem, ale publiczność w warszawskim Teatrze Polskim i tak reaguje salwami śmiechu. Właśnie tego oczekiwała: mocnego komentarza do tego, co dzieje się w polityce.

NIENAWIDZĘ PIĘKNA

NA POCZĄTKU BYŁO TAK: 6-7 OSÓB NA SCENIE, a na sali zaduch i 60 tłoczących się widzów. – Było tak mało miejsca, że wszyscy aktorzy siedzieli na scenie, bo nie mieli nawet gdzie się schować. Przebierali się w kolejne kostiumy na oczach widzów. Publiczności tak się to spodobało, że zrobili z tego swój znak firmowy; do dzisiaj właściwie nie schodzą ze sceny – Maciej Nowak, krytyk teatralny i kulinarny, wspomina pierwsze spektakle Pożaru w piwnicy Chłodnej 25, klubu, który był wówczas najpopularniejszy wśród warszawskich hipsterów.

Andrzej Konopka, czyli Burdeltata, sceniczny szef spektaklu: – Michał Walczak, reżyser i dramaturg, pozbierał nas – aktorów po trzydziestce, bez specjalnych sukcesów, większość bez etatów – i nam wmówił, że Warszawa padnie u naszych stóp. A my nie mieliśmy profesjonalnego makijażu, strojów, nic. Tekstu nikt nie pamiętał, bo dostawaliśmy go w ostatniej chwili. Potykaliśmy się o własne nogi, rekwizyty. Nie ogarnialiśmy tej sceny, tak jak nasi młodzi, 20-, 30-letni widzowie nie ogarniali swego życia. Pokochali nas, bo oni też ciągle improwizowali.

Pomysł na spektakl był taki: Burdeltata za komuny zdobywał doświadczenie, jeżdżąc z cyrkiem po NRD. Po transformacji zamarzył o własnym interesie teatralnym. Prowadzi go z wdziękiem słonia i manierami ciecia. Cała trupa Burdelu Artystycznego (bo taką przyjmują nazwę) to kilkoro poobijanych życiowo aktorów, którzy odgrywają różne postaci: dziewczyny z modnej knajpy Charlotte na placu Zbawiciela, Podpalacza Tęczy (wtedy, w 2013 roku instalację Julity Wójcik ustawioną na tymże placu Zbawiciela co i rusz ktoś podpalał) czy budowniczych metra, którzy przeżywają gejowski romans.

Pożar żywił się stołecznymi plotkami, gwiazdkami, historią ulic, remontami, awariami. Po jednym ze spektakli do ak-

torów podszedł Seweryn Blumsztajn i żartował, że „Gazecie Stołecznej”, której był wówczas naczelnym, należą się tantiemy za dostarczanie inspiracji.

– Wszyscy w Pożarze byliśmy słoikami i na jakimś poziomie oswajaliśmy Warszawę innym słoikom. Lokalsom pokazywaliśmy ją z mniej znanej strony, za co był odpowiedzialny Maciej Łubieński, nie tylko jedyny warszawiak w naszej grupie, ale też varsavianista – wspomina Konopka. – Ludzie przyjeżdżają tutaj po lepsze życie i nie traktują dobrze tego miasta. My pokazywaliśmy, że ono ma swoją skomplikowaną tożsamość i można się z nim zaprzyjaźnić.

– Walczak z Łubieńskim zbudowali współczesną mitologię tego miasta: miasteczko Wilanów, Tęcza, Plan B, Charlotte... Zobaczyli w tych miejscach coś więcej niż bary czy kupę plastiku – mówi Grzegorz Lewandowski, warszawski animator kultury i właściciel klubu Chłodna 25.

HIPSTERZY CHCĄ NA ETAT

BOHATERAMI SKECZÓW byli nowi mieszkańcy: Samotna Matka, która musi zmagać się z rzeczywistością („Samotność w Święta; Lustro, szampan, depresja; Dobrze, że mam tv plazmowe; Kolędy w HD obejrzę sobie”) czy młode małżeństwo z kredytem we frankach z Miasteczka Wilanów. Pożar pokazywał napięcia między tym, co w mieście konserwatywne i katolickie, a tym, co nowomodne i liberalne. Wyzwolona kobieta spowiadała się księdzu: – Pogubiłam się po rozwodzie. Uprawiam speed dating, dogging, fisting i petting, a co najgorsze, swingowałam.

Ksiądz: – Nic nie kumam z twoich grzechów. Uświadom mnie!

– To było obśmianie aspiracji klasy średniej – tych, którym się udało. Tyle że na widowni siedzieli raczej młodzi, którzy już nie załapali się na etaty w korporacjach, kierownicze stanowiska i mieszkali kątem u rodziców albo wynajmowali kawalerki – mówi Lewandowski.

Przebojem stała się piosenka „Chcę na etat” Anny Smołowik, która wdzięczyła się do Burdeltaty o stałe zatrudnienie. – Ona wyrażała tęsknoty i wątpliwości większości z nas, siedzących na widowni i marzących o stabilizacji – mówi Max



Cegielski, dziennikarz i autor książek. – To był powiew świeżości, skrzyżowanie ulicznej opowieści o współczesnej Warszawie, z tradycją inteligenckiego kabaretu w stylu Olgi Lipińskiej.

Spektakle stały się wydarzeniem towarzyskim, wypadało na nich bywać. – Miałem kilkumiesięczną przerwę w bywaniu – wspomina Nowak. – Idę do Teatru Studio, który udostępnił im scenę, a bilety nie kosztują już 20, lecz 80 złotych, a na widowni oprócz hipsterów politycy – między innymi Hanna Gronkiewicz-Waltz czy Małgorzata Omilanowska – celebryci i mieszkańcy tak wyśmiewanego przez nich Wilanowa. Zadziałała mentalność burżuazja, który lubi dostać po pysku, żeby udowodnić sobie, jak jest tolerancyjny.

Pożar osiadł na dobre w teatrze Warszawy: scena, kilka stolików i bar. Aktorom nie przeszkadza, że ludzie podczas spektakli piją. Czasami ktoś przedawkuje i wtrąca się w program, więc Burdeltata musi reagować. – Ale cóż jest bardziej polskiego niż użeranie się z pijanym facetem? – pyta retorycznie Konopka.

DOŚĆ JUŻ O WARSZAWIE

KIEDYŚ ŚMIALI SIĘ ZE STOŁECZNYCH KNAJP, zalanego metra, byli głosem poszukujących nowych wrażeń hipsterów. Dzisiaj bawią publiczność piosenkami o wycince Puszczy Białowieskiej, programie 500 złotych plus oraz intronizacji Chrystusa na Króla Polski.

– Snujemy opowieść o walce między napierającym na człowieka życiem politycznym a tym jednostkowym śmiesznym, często absurdalnym małym życiem.

Ostatnio narodziło się wiele negatywnej energii, lęku, niepokoju spowodowanego tempem zmian. To jest coś, z czym każdy musi sobie poradzić – tłumaczy zmianę Michał Walczak, współzałożyciel Pożaru.

– Nawet jak bierzemy tematy polityczne, nie dyskutujemy z hasłami czy postulatami, tylko zastanawiamy się nad życiem seksualnym osoby, o której piszemy. Albo nad skrytymi pragnieniami tej, która ma władzę. Politykę przebieramy w kabaretki, zakładamy jej wysokie obcasy, szminkujemy i puszczamy na rurę. Publiczność oczekuje od nas wariacji na temat świata, a nie publicystyki – wtóruje mu Maciej Łubieński, występujący jako Max Hardkor, znany też jako ostatni hetero w Warszawie.

– Zaczynali w czasach tak zwanej postpolityki, narracji ciepłej wody, przekonania, że na wyraziste poglądy już nie ma miejsca. Wtedy piosenki o rowerach Veturilo były może i śmieszne, ale teraz? Pisać o duperelach, kiedy takie rzeczy na ulicach? – zastanawia się Cegielski. Wyobraża sobie, że kiedyś o trwającym konflikcie w teatrze Studio zrobiliby cały odcinek, ale kogo to dziś interesuje? Może te 60 osób, które siedziało kiedyś na Chłodnej, ale nie 700 w Teatrze Polskim, w którym miał premierę ich najnowszy program „Zemsta bogów”.

Od ostatnich wyborów w spektaklach jest więcej polityki, a mniej miasta, zaś dawni establishmentowi wrogowie zostali sojusznikami. – Słyszałem już głosy, że za bardzo ociepliliśmy wizerunek Hanny Gronkiewicz-Waltz, że stała się bohaterem pozytywnym – przyznaje Konopka.

– W Warszawie dzieje się w kółko to samo: smog, zamieszanie z deweloperami, więc nie ma o czym pisać. Zresztą i tak skupialiśmy się na życiu emocjonalnym i miłosnym HGW – tłumaczy Łubieński.

Na widowni w Teatrze Polskim średnia wieku raczej 50+, 20-, 30-latków nie za wiele. Poza tym byli i obecni publicyści „Gazety Wyborczej”, prezydentowa Anna Komorowska, pan sędzia, pani profesor, twarze znane z demonstracji przed Trybunałem Konstytucyjnym.

– Pożar przejął publiczność KOD-owską, pokolenie, które żywi się swoimi lękami po dojściu PiS do władzy, widzi

w czarnych kolorach przyszłość. Dla tych ludzi wracają stare spory i podziały, a w Pożarze... widzą formę żartobliwego odreagowania tego, co dzieje się w polityce – tłumaczy Nowak. – A młodych ta duża polityka nie interesuje, nie rozumieją, o co ten spór, więc się wycofali.

– Nasza popularność polega na tym, że u nas następuje chwilowe zawieszenie agresji – jest wspólna przestrzeń zabawy, śmiechu. Takiej przestrzeni jest teraz bardzo mało. Nasza widownia jest bardzo różnorodna. Mieliliśmy ludzi, którzy przychodzili do nas prosto z marszu

” *Politykę
przebieramy
w kabaretki, zakładamy
jej wysokie obcasy,
szminkujemy
i puszczamy na rurę.
Publiczność oczekuje
od nas wariacji
na temat świata,
a nie publicystyki*

MACIEJ ŁUBIEŃSKI

KOD, ale także prawicowych znajomych. Nie budujemy identyfikacji przez politykę, ale przez namiętność, erotykę, a przede wszystkim obyczajowość – mówi Walczak. I przypomina monolog z programu „Rzeź niewiniątek”: „Byłam amantką, dziś jestem partyzantką. Kiedyś prosecco, dziś świt w obozie nad rzeką. Kiedyś bezradna bez manikiuru. Dzisiaj nie mogę żyć bez munduru”.

To satyra na politycznie oburzonych hipsterów? – To śpiewa Paula, była mieszkanka Wilanowa, która zaczynała od prosecco, a kończy na demonstracjach. Ktoś, kto był lemingiem, może nagle obudzić w sobie rewolucjonistę. Może obecna sytuacja sprzyja odkrywaniu w sobie innej

natury? To wszystko jest dla nas fajną pożywką – dodaje Łubieński.

CORAZ MNIEJ MŁODYCH

– **DOBRCZE TO SOBIE WYMYŚLILI** – MÓWI O POŻARZE... NOWAK. – Poważnym mieszkańcom oferują niegrzeczną rozrywkę, szacownym instytucjom, które ich zapraszają na gościnne występy, zapewniają atmosferę bohemy. Taka droga od undergroundu do mainstreamu.

Na zaproszenie Domu Spotkań z Historią zrobili program o polskiej transformacji, dla Muzeum Powstania Warszawskiego – o powstaniu, a dla Muzeum Polin o żydowskim święcie Purim.

– Jak zobaczyłem ich na tej wielkiej, pustej scenie w Polin, to pomyślałem: „nie wierzę, zamienili się w Opole” – śmieje się Lewandowski. Czy żałuje, że wyszli z nisz do dużych sal? – Nie. Udowodnili, że można coś zrobić własnego, na świetnym poziomie poza oficjalnym obiegiem. Czekam, aż upomni się o nich telewizja.

– Decydując się na powołanie Pożaru... i zarabianie tylko z biletów, zdecydowaliśmy się na życie niebezpieczne. Staramy się zbudować alternatywną rzeczywistość do władzy, niezależną od dofinansowań, nacisków, strachu. Żeby ważniejszy był kontakt z widzami, a nie z urzędnikami – zapewnia Walczak.

Przez lata Pożar... był atrakcyjny dla młodych inteligentów, bo opowiadał o sprawach, które mają wpływ na ich życie. Ale im więcej w nim ogólnopolskiej polityki, tym mniej ich to interesuje. – Przejadł im się, opatrzył, stracił atrakcyjność czegoś niszowego, ekskluzywnego, niedostępnego. Oni potrzebują świeżości – twierdzi Lewandowski.

– Nasi rodzice mieli Matysiaków, trochę starsze pokolenie Kiepskich, a my mamy tę Burdeltrupe, możemy się utożsamiać z tymi postaciami – dodaje Max Cegielski.

– Oczywiście prowadzimy rodzaj gry z naszą publicznością, że tworzymy razem z nią jakąś rodzinę popaprańców, niepozbianych ludzi – śmieje się Konopka. – Tyle że z pewnym zdziwieniem obserwuję, że to coraz starsza rodzina. **N**

jacek.tomczuk@newsweek.pl